

**SCENY
WARSZAWSKIE**

Ludzie się kochają i jest miło



WITOLD MROZEK
GAZETA WYBORCZA

Ramoty. To specjalizacja choreografa i reżysera Cezarego Tomaszewskiego. Stawia on na formy od dawna zarastające pajęczyną w kącie kulturalnego lamusa, zachowuje oryginalne słowa i zręby melodii, ale efektownie łączy dorobek nowoczesnych sztuk performatywnych i ostentacyjnie chałupniczy urok muzyki indie. Jego ostatnia premiera z Teatru Powszechnego - „Kram z piosenkami” - to kolejny spektakl z pogranicza hipsterskiej rewii oraz humoru dosadnego i abstrakcyjnego zarazem jak w skandynawskim kinie.

Niedawno w offowej Komunie Warszawa Tomaszewski wystawił spektakl zrobiony ze śpiewnika domowego Moniuszki i papierów z wojskowej komendy. Wcześniej w Kaliszu wziął się za muzyczną farś „Żołnierz królowej Madagaskaru”, która już dla przepisującego ją

na nowo przed wojną Juliana Tuwima była archaiczna.

„Kram z piosenkami” Leona Schillera też powstał przeszło 70 lat temu jako zbiorek uroczych staroci. Są tu piosenki o pasteczkach albo o (wyjątkowo u Tomaszewskiego krwawych i brutalnych) łowach na zając (w tej roli Arkadiusz Brykałski - ten sezon w Powszechnym zdecydowanie należy do niego).

Ramy starego Schillerowskiego scenariusza dramaturżki Iga Gańczarczyk i Aldona Kopkiewicz przenoszą w kontekst „Kongresu Przyszłości Kultury”, zwanego również „Kongresem Wyprzedaży Kultury Polskiej”. Pod przewodnictwem zmęczonego i urzędowo przejętego Michała Jarmickiego znudzeni paneliści zastanawiają się, jak przekonać świat do zainwestowania w „Kram...” Schillera. Zwłaszcza że - jak usłyszymy w kapitalnych fragmentach recenzji dawnych wystawień - tekst ten zawsze zostawiał z poczuciem niedosytu.

- Tym bardziej dziś nikt przecież nie kupi piosenek o śpiewaniu przy ognisku. Albo o tym, że ludzie się kochają i jest miło - mówi Andrzej

MAGDA HUECKEL



Fragment przedstawienia „Kram z piosenkami”

Klak, bez litości konkludując: Nie jest miło.

Aktor, który ostatnio sprawdził się w siedmiogodzinnym boju jako główny bohater „Procesu” Krystiana Lupy, tutaj uruchamia olbrzymie pokłady vis comica, by po chwili zmienić tryb i zaśpiewać mroczną balladę z seksapilem młodego Macieja Małęczuka. Maria Robaszkiewicz z kogoś w rodzaju przedszkolanki próbującej ogarnąć sceniczny chaos potrafi przemienić się na chwilę w diwę piosenki aktor-

skiej. Z kolei Anna Ilczuk (też prosto od Lupy, a wcześniej z Wrocławia) świetnie weszła w język Tomaszewskiego, stając się drapieżnym powiatowym wampem epatującym groteskowym seksapilem. Dzielnie sekunduje jej Aleksandra Bożek jako całkowite przeciwieństwo: zakompleksiona istota przerażona własnym głosem. Klak wcieliła się również w kaowca prowadzącego warsztaty, podczas których próbuje nauczyć grupkę „amatorów” śpiewania pieśni biesiadnej.

Bo o czym jest „Kram...”? O dziśniejszym merkantylnym stosunku do kultury i tradycji, ale też na przykład o tęsknocie za wspólnym śpiewem. O mentalności Polaków, którzy, żeby wydobyć z siebie głos, potrzebują solidnie się nawalić albo przynajmniej pójść na mecz, względnie wesele. Pomyśl na podjęcie do tego tematu jest specyficzny - świetni aktorzy grają amatorów, bawią się wstydliwie melodią fałszu.

Lekko surrealistyczny dowcip, pogodna groteska - to znaki rozpoznawcze tego reżysera. Podobnie jak scenografia stale współpracującego z Tomaszewskim duetu Bracia (Agnieszka Klepacka i Maciej Choraży) - tutaj przypomina ona skrzyżowanie pchlego targu, składziku przebrań na kinderbal z czasów naszych rodziców oraz szkolnego teatrzyku. To szczególna sala ćwiczeń, miejsce osobliwej rehabilitacji, podczas której sfrustrowany i zestresowany widz może pozbyć się kija z kręgosłupa. A jednocześnie brać udział w ambitnym, opartym na błyskotliwym, ironicznym koncepcie spektaklu teatralnym. ●